

WST P

W ubiegłym roku, tj. w 2016, szczęśliwie udało się pojechać na samotną wyprawę i to na pełne 14 dni. Nie ma się co oszukiwać – rodzina, obowiązki, to już nie jest ta sama sytuacja co 10 lat temu. Dodatkowo w b.r. tak niefortunnie ułożyły się sprawy z urlopu, a w sierpniu jeszcze doszły zawroty głowy, więc ostatecznie najbliższy możliwy termin wypadł praktycznie w drugiej połowie września. Plany były ambitne – pojechać na Zakarpacie z łącznym dystansem minimum 1500km. Bardzo szybko życie zweryfikowało ten cel, ale o tym w dalszej części relacji.

DZIE 1

2017-09-13 (roda)

Budzi się kwadrans po 6-tej. Niadanie, ostatecznie sprawdzenia i punkt 7.30 wyjeżdżam z domu. Monika i Witek jeszcze śpi. Daje im buziaka na do widzenia. Dzień wczynie się „wkręcałem” Witka, więc ze mną jedzie i będzie go trzymał w jednej z sakw ;-)

Warszawę opuszczam kierując się na Konstancin-Jeziorna, następnie mijam wysypisko Baniocha. Jadę kilometr przez las znaną mi drogą, choć przez ostatnie 3 lata nieco zarosła, a w błocie zapadały mi się opony. Dalej mijam Warkę, gdzie na skrzyżowaniu znajduje się dobrze zachowany samolot – przypomina mi to pejzaż ukraiński, gdzie punkty orientacyjne w miastach polegają na tym, że są na nich charakterystyczne obiekty militarne typu czołg czy też samolot.

Cały dzień jest zimno 13-15 C, jadę w długim rękawku, ale dać radę jeszcze w krótkich spodenkach. Jedzie się w miarę dobrze prócz tego, że rower od początku wyprawy niemiłosiernie skrzypi! Zatrzymuję się w warsztacie samochodowym i po życząc smar w spray'u i opryskuję niewralgiczne miejsca, ale nic to nie daje. Kupuję taśmę izolacyjną, bo zapomniałem wziąć i obklejam miejsca styku sakw z ramą, ale również bez rezultatu.

Obiad robię na 82 km – makaron z tym jeszcze z domu kabanosem. Sporo kilometrów jadę drogami wojewódzkimi i prócz paru miejsc ruchliwych, natomiast ruchu jest znośnie. Wjeżdżam do Puszczy Kozienickiej. Teren zaczyna się robić trochę pagórkowaty i od obiadu zaczyna dodatkowo silnie i niekorzystnie dla mnie wiać. Mijam wieś Ursynów (a to przecież nazwa dzielnicy w Warszawie). Przejeżdżam przez Pionki. Zaraz przy wyjeździe z Kozienickiego Parku Krajobrazowego udaje mi się znaleźć miejsce na nocleg. O 17-tej zaczynam się rozbić. Przez cały dzień widuję grzybiarzy na drogach. Na szczęście aden mi nie zakłóca noclegu. Kupuję siemkę prócz głowy, bo jednak za chłodno. Rozstawiam się specjalnie wczynie, bo dysponuję nowym namiotem, dotychczas testowo rozłożyłem tylko raz na działce i nie wiem ile czasu na jego rozłożenie mi zajmie. Dziennik sporządzam jeszcze w świetle słonecznym. Mimo połowy września można się spokojnie rozstawić w okolicach 18-tej, jakby nie było około 1,5 godziny wczynie w połowie lipca. Namiot nie zachwyca, ma parawan albo może za bardzo się przyzwyczaiłem do Muwanga? Pisz do Kuby smsa, żeby się pochwalił. Kuba ze mną nie jedzie z dwóch przyczyn – zdrowotnych jak i cięży.

DZIE 2

2017-09-14 (czwartek)

Budzi się parę minut po szóstej. Trochę kropi deszcz co parę minut. Jest wietrznie. Spało się tylko dobrze ze względu na nierówności. Szybkie niadanie i jestem na szosie kwadrans przed ósmą. Wieje od rana tak mocno, więc koryguję trochę trasę, aby nie jechać cięgle pod wiatr. Ostatecznie wychodzę na tym lepiej. Prawie cały dzień jadę drogami gminnymi – białymi, ale wszystkie okazują się asfaltowe. Ponownie mijam duży grzybiarzy. Zbaczam z wyznaczonej trasy kilometr, zgodnie z oznaczeniem, na stare grodziska z XIII w. w miejscowości, zaskoczony Was, skądinąd zwanych Grodzisko. Skrót na atrakcję jest wyraźny, ale dalej szukaj wiatru w polu. Nikogo nie napotykam po drodze, ludzie z racji pogody pochowani w domach.

Na jednym z postojów na skwerze miejskim dosiada się do mnie niegromy miejscowy pijaczek. Oczywiście zagaduje mnie. Z ciekawszych pytań zapamiętałem tuje, więc dziwi się, że nie jadę z „sikoreczką”. Korzystam z jego pomocy w kwestii wskazania mi dalszej drogi. Okazuje się bezbłędny, ale kosztuje mnie to 70 groszy. Pijaczek jest zawiedziony jak je ujrzał, ale tłumaczę mu, że nie mam pieniędzy, bo nocuję w lesie, a na wyprawę zbieram cały rok ;-). O dziwo nie ma pretensji po moim, jak i uczciwym, tłumaczeniu.

Tego dnia mijam kilka rezerwatów. W dalszym ciągu nie mogliśmy ustalić co mi piszczy w rowerze. Smaruję jeszcze raz pedały, poprawiam mocowanie sakw, zacisk od koła i nic! Chyba na wiosnę pokuszę się o pełny przegląd roweru, bo z roku na rok jest coraz gorzej. Pogoda przez cały dzień istnieje mało rowerowa – wieje tak, w niektórych miejscach, jadąc pod górę, staje mi rower od oporu powietrza, a jak udaje mi się jechać zgodnie z kierunkiem wiatru to pedałowanie ograniczam do minimum. Oczywiście taka jazda jest znacznie bardziej męcząca niż jazda non-stop pod lekki wiatr.

Mam spore kłopoty ze znalezieniem rozsądnego miejsca na nocleg – dwie nieudane próby. W końcu trzecia, trochę ryzykowna z racji odsłonięcia na widok w cierniach. Rozstawiam się o 17:40, kiedy już powoli zaczyna robić się szaro. Ostatecznie nocuję 10 km przed Janowem Lubelskim. Higiena przede wszystkim, więc nie rezygnuję z mycia głowy i ciała. Pogoda na wieczór chwilowo rozpieszcza – 25°C i udaje się złapać trochę słońca przez krótki koszulkę.

Z ciekawostek, które zapamiętam to na przestrzeni 60 km tego dnia minął mnie charakterystyczny, bardzo rzadki pojazd pogotowia elektrycznego, którego nie sposób było pomylić z żadnym innym. Jak to czasem przypadek powoduje, elektrycy nim jadący mieli trasę zbliżoną do mojej...

DZIEŃ 3

2017-09-15 (piątek)

W nocy wieje niesamowicie takimi podmuchami, więc mi namiot tańczy. Taka lekka konstrukcja ma jednak swoje wady. Poprzedni namiot z dwoma masztami był „stoikiem” na wietrze, ten nowy niestety już nie. Ma swoje zalety jak wysokość, obszerność i niską wagę, jednak po tych raptem paru dniach wyprawy odnosi wrażenie, że nie będzie mu dane długo służyć. Jako, że dodatkowo równie pada to na wietrze ściany zaczynają dotykać tropiku i sypialnia zaczyna się robić wilgotna. Nie jestem w stanie tak go nacisnąć, aby powłoki nie dotykały się. Może to wina nierównego miejsca, ale w nocy przecie nie będę tego analizował... piątek i tak twardo.

Podczas niadania umilaj mi poranek przelatującej nisko nad głowami bociany – a słyszysz taki łoskot, furczenie ich dużych skrzydeł.

Niedługo po wyruszeniu, wjeżdżamy do Lasów Janowskich. Nie robi się wcale cieplej, a wręcz na odwrót. Ubieram się w długie spodnie i gruby długi rękaw. Niedługo później dojeżdżamy do wsi Szklarnia w samym sercu wschodniej części Lasów Janowskich. Nazwa wsi pochodzi od istniejącej w niej ponad 150 lat temu hucie szkła. Na chwilę obecną atrakcją wsi jest ostoja konika biłgorajskiego – krzyżówki tarpana i konika polskiego. Mam szczęście – jestem wiadkiem jak konie wypuszczane się ze stajni na pole. Wybiegają podziwem. Wyglądają na większe i znacznie dziksze niż takie oglądane przeze mnie w stajniach.

W dalszej trasie próbuję pojechać drogą leśną z Mamot Górnych na Deputaty, ale po kilkuset metrach droga zaczyna tonąć w błocie i rezygnuję z pomysłu. Kieruję się w kierunku wsi Ujście, nadrabiam trochę kilometrów. Przecinam sporo szlaków rowerowych poprowadzonych w Lasach Janowskich. Są zazwyczaj dobrze oznakowane, co stanowi chlubny wyjątek u nas w Polsce. Z Ujścia zamiast oczekiwanej kolejnej gruntówki odnajduję wieńce o połowę asfalt – tej drogi według mapy być nie powinno. Zgodnie ze znakami droga jest czynna w godzinach 7-17 z wjazdem na własną odpowiedzialność. Jest przy tym malownicza i wspaniała – dwa samochody osobowe się minęły, ale z trudem. Podejrzewam, że drogę położyła Służba Leśnicza, aby ułatwić wywózki drewna, bo przecie nie dla grzybiarzy robi się tak dobre drogi w środku lasu. Jadę blisko 8 kilometrów – jest tak kręta, że gubi się w liczbie pokonanych zakrętów.

Kieruję się w kierunku miejscowości Leżajsk. Po drodze mijam malownicze Harasiuki, Lipiny i Kuryłówki. Pogoda w dalszym ciągu nie rozpieszcza – jest zimno, ale chociaż przestało mocno wiać. Nie przekraczam Sanu, a jadę jego wschodnim brzegiem. W Rzechowie staję na spóźniony obiad – w końcu makaron z tuńczykiem!

W dalszej części dnia czeka mnie jazda ponad 20 km odcinkiem drogi wojewódzkiej z Sieniawy do Jarosława. Ruch okazuje się całkiem spory, ale jedzie się szybko i ten dystans zamykam w godzinę jazdy. Przed Jarosławem odnajduję na mapie zaznaczony „ład” z poprzedniej wyprawy z Kubiszewo. Postanawiam nim trochę podjechać. Otoczenia w ogóle nie poznaję i nie sposób się temu dziwić, choć zdarza się czasami kilkaset kilometrów od domu zawitać po paru latach do tego samego spotykania i co nieco się go pamiętać.

Jedzie si przyjemnie i tego idealnego noclegu szukam tak d ugo, e wybija prawie 15 kilometrów poszukiwa . Nadmieni , i noclegu przy takich wyprawach szukam na zasadzie: od teraz rozgl dam si za noclegiem, trafi si jakie miejsce za 100m to si rozkładam, a jak nic nie widz ciekawego, to jad dalej. Czasem jest to faktycznie kilkaset metrów, a czasem takie kilkana cie kilometrów. Oczywi cie mówi tutaj o sytuacji nieprzymuszonego noclegu warunkami typu zmierzch czy te zbli aj ca si burza.

Akurat na tym obszarze przewa aj same pola, brak cho by zagajników. Niejednokrotnie na polach si cz owiek rozbijał, ale tutaj wida , e wie o co posadzone, wi c nie wypada. Zaczyna si robi szarówka. W ko cu ostatekiem si za czwartym podej ciem udaje mi si rozbi bezpiecznie namiot na starej, wył czonej z ruchu, poro ni tej zielskiem drodze polnej, otoczonej z obydwu stron starymi drzewami.

DZIE 4

2017-09-16 (sobota)

Jako kiepsko pi , jest mi niewygodnie i przera liwie zimno. Wstaj wcze nie, bo około szóstej, ale wyje d am dopiero dwie godziny pó niej. Jest tak zimno, e zakładam cienkie r kawiczki, które przezornie wzi łem. Rezygnuj ostatecznie z planu wyprawy, który polegał na objechaniu Zakarpacia. Chyba zdiagnozowałem, bo z roku na rok jest coraz gorzej – bardziej doskwiera zimno (cho akurat w tym roku wyprawa w połowie wrze nia to jaka by miała by ?), rower skrzypi, a i forma taka, e po prostu obawiam si wi kszych gór. Boj si , e b d sobie pluł pó niej w brod , zmarnowa tak okazj , ale trudno.

W Lubaczowie zatrzymuje mnie rowerzysta jad cy z naprzeciwka. Staj zaciekawiony. Na oko ma 60 lat, ale wygl da na mniej. Okazuje si , e te planuje wyjecha na co podobnego. Podnosi mój rower, pyta si o ekwipunek, itp. Zdradza mi, e jeszcze niedawno startował w maratonach, ale par lat temu miał zawał na mecie i si wycofał z tej konkurencji (chyba słusznie!). Teraz zajmuje si triathlonami – do dzi nie wiem czy artował czy te nie. Tak si nam dobrze rozmawiało, e nawet zaproponował kaw , ale e czas mnie naglił (przecie mam urlop) to grzecznie podzi kowałem i pojechałem dalej.

W Hory cu odbijam na północ do Południoworoztocza skiego Parku Krajobrazowego. Nawet udaje mi si przejecha par kilometrów cie k GreenVelo. Niestety nie znajduj w Parku radzieckich schronów bojowych mimo oznacze .

Za miejscowo ci Pawliszcze zapytuje si napotkanej ekipy budowlanej o drog na wie D by. Jeden mówi, e mo na przez las (tak sam wła nie czasem je dzi), a drugi, e w adnym wypadku. Rozpoczyna si mi dzy nimi dyskusja. Zaczynaj si wr cz kłóci . Jad w ko cu tak jak mówi starszy z nich – czyli troch dookoła, nie przez las na skrót. W Lubyczy Królewskiej skr cam na Łaszczów.

Na setnym kilometrze tego dnia robi sobie przerw na przystanku w małej wsi. Nie znajduj na nim ławki, wi c przeprowadzam rower na drug stron drogi, gdzie stoi jaki opuszczony budynek, ale za to z nierozwalonymi schodami, na których mo na sobie wygodnie usi . Nagle podchodzi do mnie kobieta, około 40-tki, bardzo, ale to bardzo otyła i co tam mamrocze. Staram si by miły i mówi , e zaczyna kropi , e pogoda mało ciekawa, itd. A ona dalej co duka i ja niczego nie rozumiem. Wyci gam w ko cu ksi k i zaczynam przy niej czyta . W ko cu udaje mi si j zrozumie , ale tylko jedno słowo: „Kiedy?”. Nie rozumiem c, pytam si kilka razy o co chodzi, bo mo e chodzi jej sk d i dok d jad czy co podobnego. A ona dalej niezra ona „Kiedy?”. Zm czony tym odpowiadam jej tym samym: „Co kiedy?”. Dochodzimy w ko cu zdaje si do clue tego co chciała od pocz tku ode mnie uzyska , czyli: „Kiedy dasz pieni dze?”. Staj jak wryty, bo nawet dla urodzonego warszawiaka co takiego to niesamowite chamstwo. Wstaj i zaczynam si pakowa do wyjazdu i obruszony mówi , e adnych pieni dzy nie mam i pi w namiocie w lesie. Po tym tek cie kobieta odchodzi, ale mi si ju nie chce w tej dziwnej wsi zostawa ani minuty dłu ej.

Robi kolejne 2 km i zatrzymuje si na kolejnym przystanku. W Łaszczowie robi zakupy na kolacje i niadanie. Nauczony dniem wczorajszym, wod bior wcze niej i zaczynam si rozgl da za miejscem na nocleg zdecydowanie wcze niej i bez wybrzydzenia. S tego efekty – udaje si za drugim razem. Trafia mi si mały zagajniczek w ród pól uprawnych. Troch spadzisto, ale mo e by .

Bior pełn k piel mimo chłodu. Sprawdzam prognoz pogody, z której wynika, e ma zacz pada w nocy a do 9-tej rano. Zobaczymy...

DZIE 5

2017-09-17 (niedziela)

Prognoza spełnia się z lekkim opóźnieniem – pada zaczyna od witu, tj. od szóstej rano, ale niezbyt intensywnie, wręcz chwilami przestaje. Korzystam z jednej z takich okazji i pakuję się. Zwijam jednoosobowe obozowisko tak szybko, że kwadrans przed ósmą jestem już gotowy do wyruszenia.

Przejeżdżam przez Tyszowce i Werbkowice. Zaraz przed Mołodiatyczami zaczyna silnie padać. Zakładam swój dwucieczowy strój chemiczny – nazywam go tak, bo jest kompletnie biały i wygląda jakby był przygotowany na atak substancjami trującymi, jeszcze tylko maski gazowej brakuje. W kompletnym deszczu robi parę kilometrów i podjeżdżam pod wiat napotkanego sklepu na planowany krótki postój.

Przerwa trwa ostatecznie niemal pół godziny, bo w końcu trafia mi się gadatliwa pani Sprzedawca, następnie napotkany sakwiarz (jak zrozumiałem był na jednej wyprawie 5 lat temu), poruszający się tymczasowo samochodem. Okazuje się fajnym gościem. Namawia bardzo do kupna pedałów z wiązki platform typu np. SPD SL. Z jego opowieści dowiaduję się, że 5 lat temu pokonał drogę z Lublina czy Rzeszowa (dokładnie teraz nie pamiętam) do Belgradu (ponad 1000 km). Robił z kolegami dziennie nawet po 200 km. Uczciwie przyznał jednocześnie, że przy takim dziennym przebiegu niczego nie widział po drodze, bo trzeba było ciągle pedałować. Ale i tak mieli swoje przygody – zapewne ze zmęczeniem mieli kolizję ze sobą podczas jazdy i z urazem ledwo wrócił do Polski. Pogadaliśmy serdecznie, on mi życzy szczęśliwej drogi, a ja jemu powtórzenia wyczynu sprzed lat.

Podczas przerwy przestała padać deszcz, ale oczywiście gdy ruszyłem po paru minutach ponownie zaczął się pić. Notabene okazuje się, że zakupiona przeze mnie nowa sakwa na kierownicę, tak długo zresztą szukana, może i jest nieprzemakalna, ale mapnik na niej kompletnie nie działa, a szkoda, bo naprawdziwie jej naszukałem, a w technicznych specyfikacjach nie pisał czy mapnik jest szczelny czy nie. Trudno, trzeba będzie przezroczyście planek załatwić, aby podczas deszczu jednak widzieć gdzie się jedzie ;d

Opowiem małą anegdotkę z tego dnia, w okolicach 30 km. Dojeżdżając do małego mostku nad strumykiem słyszę donośne szczekanie dwóch psów w kierunku porządku mostu. Dopiero gdy na niego wjechałem ujrzałem zmkniętego kota, który przeszedł na stronę zewnętrzną balustrady (bałem się, że spadnie zaraz do wody) i stara się odeprzeć atak psów. Tak sprytnie się ustawił, że pionowo szczeblin barierek miał między oczami, a po bokach wystawiał łapy i próbował odganiać psy i to wszystko oczywiście na tylnych nogach. Namaszczaniem okazuje się bardzo podobny do moich domowych kotów, więc szybki zwrot i jestem przy psach. Odstraszam je szybko krzykiem, trzymając na wypadek w pogotowiu gaz pieprzowy. Psy powoli odchodzą w pole, ale ociągają się niezmiernie i co chwila się odwracają czy może już pojechałem i będą mogły wrócić do kota. W międzyczasie kot zmienia pozycję na czworonożną i nie wygląda już na tak przestraszonego. Jest cały zmoczony, ale nie chce opuścić mostku, a nie wiem jak mu doradzić, aby schował się pod mostkiem, bo jest tam sucho. Psy zniknęły z pola widzenia, znikam i ja pewnie, że kot sobie już poradzi.

Wracając do dalszej części dnia, deszcz kropi raz mocniej, raz słabiej. Mijam Wojsławice i kieruję się na Chełm. Na jego przedmieściach sprawdzam na smartfonie prognozę pogody na najbliższe parę dni dla rejonów, które mam zamiar odwiedzić, a planuję dojechać do Białowieskiej i stamtąd zawrócić do Warszawy. Okazuje się, że ma padać prawie cały czas, a temperatura w dzień ma nie przekraczać 12 stopni C. Zrezygnowany i wyziony całym dniem, a tak i czuję, że dalsza jazda nie będzie dla mnie przyjemnością, wsiadam do pociągu w Chełmie i po 5 godzinach jestem w Warszawie w domu.

Po wyjściu z dworca w Warszawie nie małuj podjętej decyzji – stolica okazuje się całkiem paną w wodzie, miejscami wody po kostki na drodze. Trudno, nigdy więcej jazdy w drugiej połowie września.

ZAKOŃCZENIE

Na pewno wyprawy nie sposób zaliczyć do udanych. Raptem 5 dni, z kiepską pogodą nie należy dla mnie do miłego spędzania czasu. Momentami dawał o sobie znać problem z zawrotami głowy, który zresztą do dziś dnia pozostaje nierozwiązany. Planu wyjazdu na Zakarpacie nie wyrzucam na „mietnik historii”. Będzie go trzymał i mam nadzieję, że w przeciwnym kilku najbliższych latach uda mi się go zrealizować.